

EGZEMPLARZ PŁATNY

Nr. 6 kwiecień-czerwiec 2022r. INS rej. 15/20

WIOSKA NA KRAŃCU



KWARTALNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY STOWARZYSZENIA
„W STAREJ GMINIE” MIEJSCOWOŚCI HUTA KRZESZOWSKA



„I srebro, i złoto to nic, chodzi o to, by młodym być i więcej nic!
Nie rozgłos, nie sława, nie stroje, zabawa, lecz młodym być i więcej nic!

Z KART HISTORII

Wbrew historii, czyli o przynależności terytorialnej Krzeszowa słów kilka...

Województwo lubelskie, jedno z szesnastu obecnie istniejących, (od reformy z 1 stycznia 1999 roku), jest jedyną jednostką administracyjną w kraju, istniejącą począwszy od 1474 roku, choć z przerwami – przypadającymi w latach 1795-1815 oraz 1837-1918, kiedy to nie było w ogóle takich organów na ziemiach polskich, tylko departamenty lub gubernie – która zachowała do dnia dzisiejszego swoją historyczną nazwę oraz stolicę z czasów przedrozbiorowych.

Co ciekawe, należy również do niewielu, które wyznaczają od dawien dawna naturalne granice, to znaczy nasze wielkie rzeki: Wisła, Wieprz a także częściowo Bug, ponieważ znajduje się dokładnie w ich międzyrzeczu. Jeśli chodzi zaś o jego odwieczną siedzibę – Lublin, jest ona nadal największym miastem Rzeczypospolitej po prawej stronie Wisły.

Znaczna część wspomnianego obszaru, a więc ziemie położone nad Sanem, Wieprzem i Bugiem, była w okresie tworzenia się państwa polskiego terenem spornym, co wynikało z mieszanego typu osadnictwa lokalnego, tj. najpierw zachodnio oraz wschodniosłowiańskiego, potem w jego następstwie... w skutek zderzenia się dwóch wielkich, lecz obcych sobie kultur – bizantyjskiej (wschodniej) i łacińskiej (zachodniej).

My jednak skupimy się teraz tylko na tym, co jest nam najbliższe – na zawiłych losach słynnych okolicznych miejscowości, takich jak Biłgoraj, Krzeszów czy Tarnogród, wraz z ich najstarszym otoczeniem. Każda z nich miała oczywiście swoje własne dzieje, już od czasów lokacji, aczkolwiek połączyło je zawsze coś szczególnego, mianowicie ich wcześniejsza lub późniejsza przynależność do dawnego i teraźniejszego województwa lubelskiego.

Warto tu jeszcze dodać na początku, iż do grona jego zwierzchników, tzn. wojewodów należał m.in. Marek Sobieski, rodzony brat króla Jana III oraz dwóch zacnych ordynatów, czwarty z kolei Marcin, jak również siódmy (według chronologii), Tomasz Antoni – Zamoyscy.

Zacznijmy te rozważania od... Krzeszowa. Jego specyficzne położenie sprawiało, że podobnie do innych miast Małopolski, często zmieniał swą przynależność administracyjną. Przed włączeniem do sławnej Ordynacji Zamojskiej (w 1590 roku), jako wieś królewska był położony w starostwie niegrodowym krzeszowskim i należał wtedy do ziemi przemyskiej województwa ruskiego.

Ziemia ta sąsiadowała bezpośrednio z innym terenem, czyli z ziemią chełmską, stykającą się od wschodu, (patrząc od strony powyższej osady), z dobrami biłgorajskimi, która w zasadzie stanowiła enklawę województwa ruskiego, wskutek wcinania się klinem na wysokości miasta Biłgoraja, kolejnego dawnego województwa, zwanego bełskim.

Lecz to jeszcze nie wszystko. Albowiem oprócz specyficznego połączenia tych dwóch historycznych ziem polskich oraz granic wspomnianych województw w omawianym miejscu, dochodził tu ponadto... trzeci obszar administracyjny, nie brany dotąd pod uwagę.

Dokładnie wzdłuż rzeki Tanwi na długości odpowiadającej przestrzeni pomiędzy Krzeszowem, Tarnogrodem i Józefowem przebiegała dodatkowo południowa granica województwa lubelskiego, do którego Biłgoraj od samego początku należał. Ażeby było ciekawiej, właśnie z powodu owego sąsiedztwa ziemi chełmskiej, wcielono go potem niesłusznie, w ramach administracji kościelnej, do tejże diecezji łacińskiej, (dokładnie 46 lat po lokacji), a nawet mylnie kojarzono niekiedy z jego położeniem w województwie ruskim.

Tymczasem to leżące blisko wspomnianego ośrodka miejskiego wsie Majdan (Stary), Księżpol, późniejszy Aleksandrów a także Józefów czy starszy od nich Tarnogród, należały z pewnością do wyżej wymienionej jednostki zwierzchniej, aż do upadku państwa polskiego. Po I rozbiórze Rzeczypospolitej Biłgoraj znalazł się, tak jak Krzeszów i inne sąsiednie miejscowości, w granicach Galicji (Wschodniej).

Ale zasadna interwencja króla Stanisława Augusta Poniatowskiego w sprawie złamania warunków traktatu rozbiorowego przez Austriaków, którzy posunęli się stanowczo za daleko i dotarli pod Janów oraz Goraj, zamiast zatrzymać się na Tanwi, sprawiła, że Biłgoraj wraz z Zaklikowem, Frampolem, Modliborzycami oraz tymi dwoma miastami powróciły wkrótce, tj. w lutym 1776 roku, do okrojonej ojczyzny.

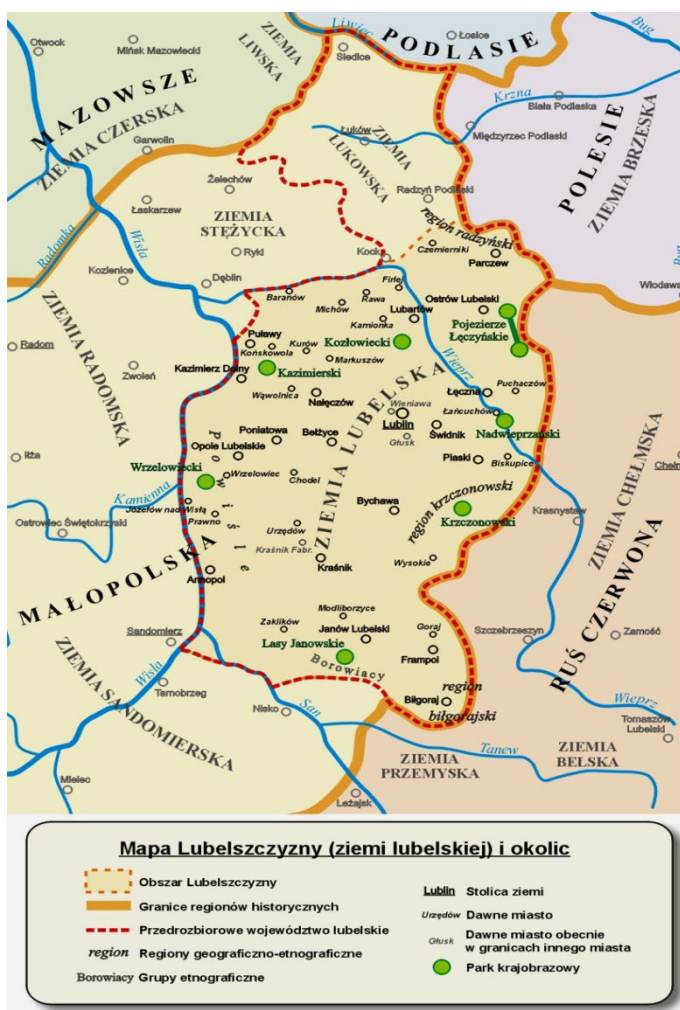
Tyle, że... już bez Krzeszowa, Tarnogrodu, czy Józefowa i wielu tutejszych wsi. Po ich zajęciu przez wroga zostały one z początkiem grudnia 1773 roku włączone do dystryktu Ulanowskiego cyrkułu bełskiego, z siedzibą w Zamościu.

Dwa lata później trafiły na ponad rok do świeżo utworzonego wtedy cyrkułu biłgorajskiego, by po przyłączeniu tegoż ośrodka miejskiego z powrotem do Polski, znaleźć się najpierw w cyrkułe tomaszowski a następnie (od 1783 roku) w zamojskim. (Dzięki staraniom dziesiątego ordynata Andrzeja Zamoyskiego, chcącego zachować swoje olbrzymie latyfundium w całości).

Jeśli chodzi o Krzeszów, wchodził on w skład tej ostatniej administracji terenowej aż do 1809 roku włącznie. Po pokoju w Schönbrunn, jako jedyne miasto z obszaru pierwszego zaboru austriackiego, został odstąpiony Księstwu Warszawskiemu. Jednak jego handlowe znaczenie niestety upadło, gdyż na krzeszowskie jarmarki nie przybywała już ludność z Sanu. (Stało się to znowu możliwe począwszy od 1853 roku).

Trafił wówczas do departamentu lubelskiego oraz powiatu tarnogrodzkiego, po kilkudziesięciu latach zaś (po raz drugi!!!) do biłgorajskiego. W międzyczasie, a dokładniej w 1837 roku, istniejące na powrót województwa w Królestwie Polskim (od końca 1815), w tym lubelskie, przemianowano na gubernię, z ich gubernatorami na czele. Znalazł się wtedy, wraz z Tarnogrodem, Józefowem i Biłgorajem, w tejże guberni, w powiecie zamojskim (wcześniej obwodzie), z siedzibą w Janowie Lubelskim, jak też w okręgu tarnogrodzkim.

Jednak po powstaniu styczniowym władze carskie przeprowadziły gruntowną reorganizację administracyjną Królestwa Kongresowego. Na mocy ukazu z 31 grudnia 1866 roku został dokonany nowy podział guberni lubelskiej. Wydzielono z niej nową jednostkę –



Ziemie historycznej Lubelszczyzny i jej okolic

gubernię siedlecką, a samą lubelską podzielono dokładnie na 10 powiatów. Wśród nich pojawił się świeżo utworzony powiat biłgorajski, którego obszar wykrojono w 1867 roku z istniejącego powiatu zamojskiego.

Graniczył on od północy z zamojskim i janowskim, od wschodu z tomaszowskim a od zachodu i południa z Galicją. Usytuowany w południowo-zachodniej części guberni, zajmował 10,2% jej powierzchni i był pod względem wielkości na 5 miejscu.

Tworzyły go początkowo cztery miasta – Biłgoraj, jako siedziba powiatu, Józefów, Tarnogród oraz Krzeszów, ponadto 13 gmin wiejskich: Aleksandrów, Babice, Biłgoraj, Biszczka, Huta Krzeszowska, Kocudza, Krzeszów, Księżpol, Lipiny, Łukowa, Majdan Sopocki, Sól i Wola Różaniecka.

Niestety już po kilku latach nastąpiły bardzo poważne zmiany. Wskutek postanowień Komitetu Urządzającego w Królestwie Polskim większość naszych miast utraciła bowiem prawa miejskie, przez co zostały zdegradowane do rangi osad. W powiecie biłgorajskim mocą tych decyzji swe przywileje lokacyjne utraciły Krzeszów i Józefów (31 grudnia 1869/13 stycznia 1870) oraz Tarnogród (27 maja 1870 roku). Należy nadmienić, iż w powiecie zamojskim podobny los spotkał jeszcze takie miasta, jak Frampol, Goraj, czy Krasnobród.

W myśl powyższych przepisów Krzeszów przyłączono do gminy o tej samej nazwie, Józefów włączono do gminy Aleksandrów, natomiast w Tarnogrodzie wprowadzono tzw. samoistny zarząd gminny. W ten oto sposób w powiecie biłgorajskim pozostało już tylko jedno miasto, trzy osady i kilkanaście gmin wiejskich, liczących w sumie 101 wsi. Stan ten nie uległ zmianie aż do utworzenia guberni chełmskiej w 1912 roku.

Utrata praw miejskich była znacząca w skutkach zwłaszcza dla Józefowa, Krzeszowa i Tarnogrodu, które pod względem liczby ludności (w 1865) liczyły odpowiednio: 941, 1383 oraz 4652 mieszkańców. (Biłgoraj w tym czasie liczył 6005 osób). Z tych trzech ośrodków najwięcej stracił oczywiście Tarnogród, ponieważ miał dosyć dobre perspektywy rozwoju.

Po odzyskaniu niepodległości przez Polskę miejscowości te, wraz z całym powiatem biłgorajskim, znalazły się znowu w granicach utworzonego (po raz kolejny) województwa lubelskiego (tzn. w 1919 roku). Dwa lata później w skład wspomnianego sejmiku wchodziło, wraz z miastem Biłgorajem, dokładnie 17 gmin, w tym oprócz dawniej przyłączonych, także Potok, Tarnogród, Puszcza Solska, Frampol oraz Goraj. Aż do końca 1955 roku Krzeszów należał, zgodnie ze swoją historią, do wspomnianej jednostki administracyjnej niższego szczebla.

Warto wiedzieć, że podczas drugiej wojny światowej przynależność tej osady jej najbliższej okolicy do ziemi biłgorajskiej a tym samym do województwa lubelskiego, nie budziła żadnych zastrzeżeń. Albowiem wchodziła ona wtedy w skład Obwodu AK Biłgoraj, stanowiąc jeden z jego pięciu strategicznych Rejonów, z ich komendantami w takich jeszcze miejscowościach, jak Biłgoraj, Frampol, Józefów czy Tarnogród. (Obwód AK Biłgoraj stanowił wtedy część Okręgu Lubelskiego Armii Krajowej, podległą Inspektoratowi Zamość).

Wypada tu nadmienić, iż Rejon AK Krzeszów obejmował wówczas zarówno tę osadę, jak i Hutę Krzeszowską oraz Potok a jego dowódcami byli ppor. rez. Józef Wójcik ps. Mały lub Błysk (do grudnia 1942), następnie Józef Igras ps. Jurand i ppor. Edward Pawowicz vel Pawłowicz ps. Baca (od listopada 1943 roku).

Niestety kilka lat po zakończeniu działań wojennych, tj. już w latach 1955-1975, wbrew swoim dziejom, Krzeszów został wcielony do świeżo powołanego powiatu leżajskiego w województwie rzeszowskim (dokładnie 1 stycznia 1956). Nikt nie wie, dlaczego włączono go do ziemi niżańskiej, zwłaszcza że nawet ze względu na przynależność kościelną, czyli do struktury Kościoła rzymskokatolickiego, te późniejsze zmiany administracyjne wydają się zupełnie nielogiczne.

Nie da się przecież zaprzeczyć temu, że miejscowa parafia pw. Narodzenia NMP a także Podwyższenia Krzyża Świętego w Hucie Krzeszowskiej oraz inne wspólnoty w

sąsiednich wioskach, należą do diecezji zamojsko-lubaczowskiej i wchodzą w skład dekanatu Biłgoraj – Południe począwszy od czerwca 1992 roku aż do dnia dzisiejszego.

Co więcej, mimo tego, iż obecnie Krzeszów jest wsią położoną w powiecie nizańskim o czym dalej będzie mowa, często uznaje się go nadal za integralną część ziemi biłgorajskiej, a patrząc szerzej – Zamojszczyzny.

Świadczą o tym nie tylko długie związki jego okolic z powiatem biłgorajskim i województwem lubelskim, lecz także wspomniana struktura organizacyjna Kościoła katolickiego, wedle której Krzeszów jest jednym z pięciu rejonów nowej diecezji, o niezaprzeczalnej i długoletniej przynależności do Ordynacji Zamojskiej nie wspominając.

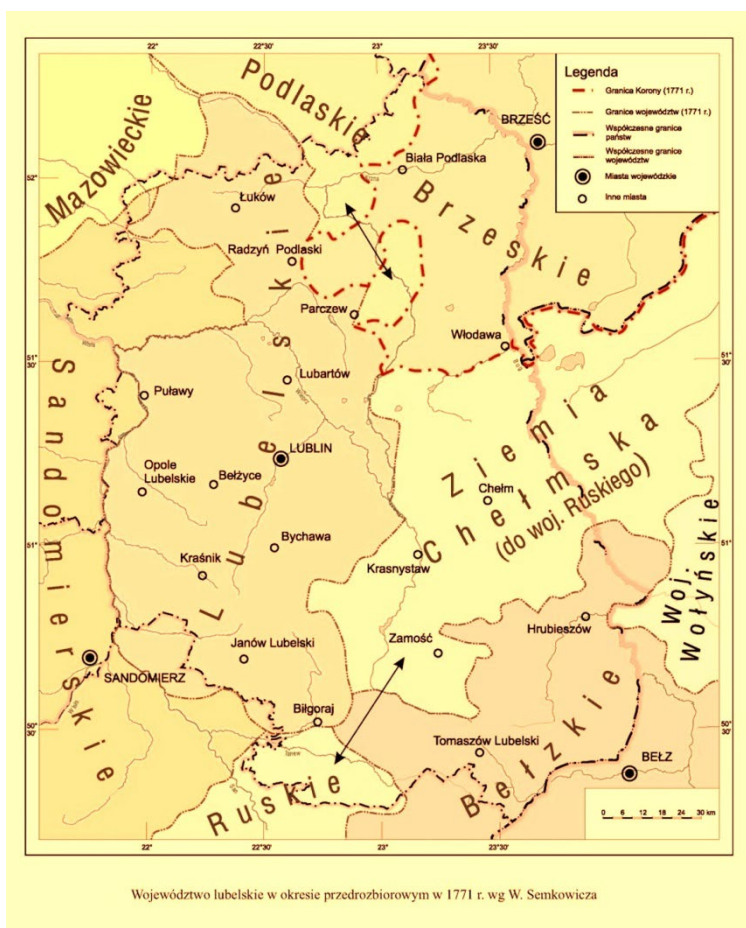
Ponadto, jak zauważył historyk sztuki – Bartosz Podubny, utworzone w 1999 roku nowe województwa, w tym podkarpackie, „były tworamipozbawionymi logicznej podstawy – ich granice wytyczono nader sztucznie, bez umocowania w tradycji historycznej lub innych ugruntowanych przez lata zależnościach”.

Uznał, też, że „wykluczenie” Krzeszowa spod władzy ośrodka lubelskiego, wytworzyło obszar „terra incognita” (łac. – ziemia nieznana), gdyż tereny te, włączone do województwa podkarpackiego, wykazują nadal widoczne i trwałe związki z dawną oraz obecną Lubelszczyzną.

Wprawdzie warunki przyrodnicze, jak również historyczne, przyczyniły się z czasem do wytworzenia po obu stronach nieistniejącej już granicy galicyjsko-rosyjskiej pewnych cech odrębnych, jednak mieszkańców puszc po obu stronach Sanu należy uważać nadal za jedną i tę samą grupę etnograficzną o nieznacznie tylko zróżnicowanej kulturze.

Wracając teraz do czasów podziału gminy Krzeszów na dwie gromady: tzn. na Krzeszów oraz Bystre, czyli do 1955 roku, kiedy to dołączono je do powiatu leżajskiego i województwa rzeszowskiego, już wtedy utraciła ona część swojego terytorium (czyli Górny Krzeszów).

Być może dlatego w 1972 roku dokonano próby przywrócenia stanu rzeczy sprzed ich powstania, ale zakończyła się ona niepowodzeniem. Krzeszów nie wrócił już nigdy do swej właściwej jednostki administracyjnej. W dodatku na skutek kolejnych zmian, dokonanych w 1975 roku, wszedł w skład województwa tarnobrzeskiego, (zamiast lubelskiego), tracąc przy tym jeszcze status siedziby gminy.



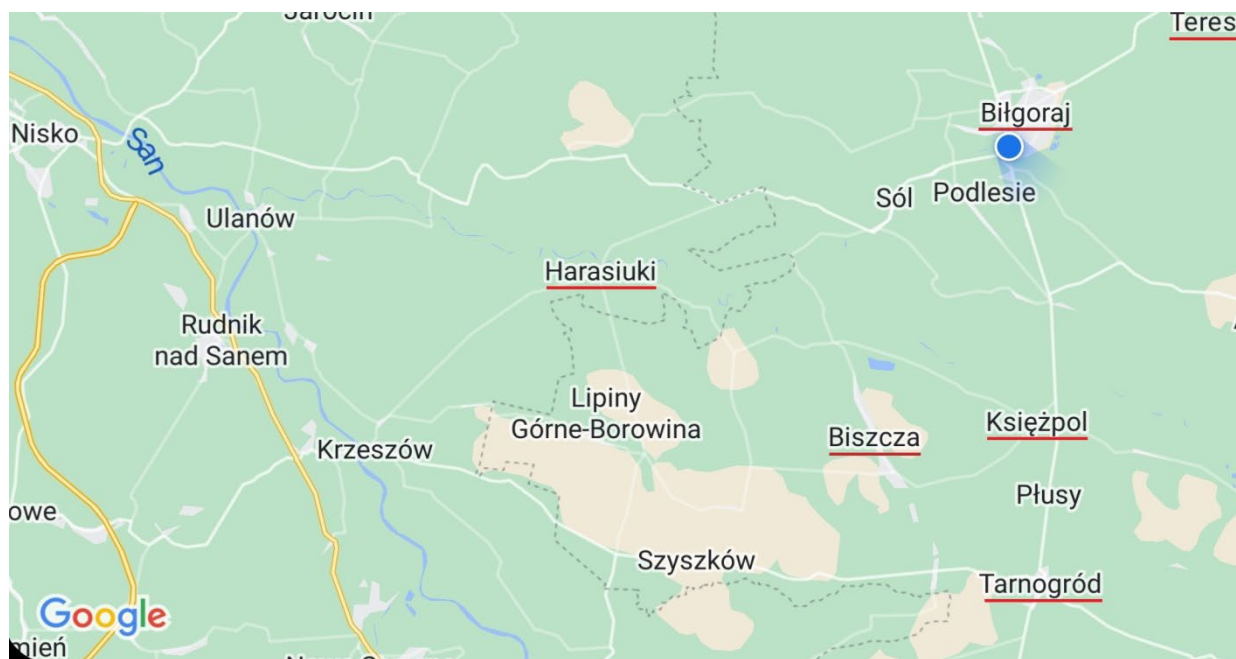
Styk trzech dawnych województw przed
rozbiorami

(Istniała bowiem do 29 września 1954, tj. do wprowadzenia gromad, po czym reaktywowano ją 1 stycznia 1973, lecz już 1 września 1977 zlikwidowano włączając jej tereny do gminy Rudnik i dopiero dnia 1 października 1982 roku odtworzono ją ponownie z części dwóch ówczesnych gmin – Harasiuki oraz Rudnik).

Co gorsze, po likwidacji województwa tarnobrzesckiego (w styczniu 1999 roku), przyłączono go automatycznie do odtworzonego wówczas powiatu nizańskiego w ustanowionym w tym czasie i istniejącym do dzisiaj województwie podkarpackim.

Ów trójstopniowy podział administracyjny, obowiązujący obecnie w Polsce, tj. na województwa, powiaty oraz gminy, nie przyniósł niestety korzyści tej miejscowości, zwłaszcza że Tarnogród, Józefów oraz Goraj wciąż należą do Lubelszczyzny i co najważniejsze znowu są pełnoprawnymi miastami, gdyż wszystkie odzyskały w międzyczasie prawa miejskie.

Trwałe oddzielenie Krzeszowa i jego okolicy od pozostałych tutejszych miejscowości, a zwłaszcza od Biłgoraja, z którym przez długie lata był związany historycznie, z pewnością mu nie służy. Powiem nawet więcej, przynosi ogromną stratę dla obu tych ośrodków i to pod każdym względem. Jest ona o tyle istotna, że być może nigdy nie da się jej już zrekompensować. A szkoda...



Wybrane gminy powiatu biłgorajskiego w 1973 roku

Piotr Flor
Prezes Biłgorajskiego Towarzystwa Regionalnego

Moje plany odnośnie do polecenia Wam ciekawej, godnej uwagi lektury musiały ulec zmianie w obliczu tragedii, która stała się udziałem naszych sąsiadów zza wschodniej granicy. Zbrojna agresja Federacji Rosyjskiej na niepodległą, suwerenną Ukrainę boleśnie uświadamia, że pomimo ogromnego postępu cywilizacyjnego, mimo świadomości, jak wiele niewyobrażalnych okrucieństw niesie ze sobą wojna, historia po raz kolejny zatacza na naszych oczach koło. W imię niepojętych ambicji i imperialistycznych zapędów jednego człowieka, bombardowane są ukraińskie wioski i miasta, wniwecz obracany jest dorobek całych pokoleń, a nade wszystko ginie ludność cywilna.

Sposób rozpętania aktualnego piekła na ukraińskiej ziemi siłą rzeczy przywodzi na myśl 1 września 1939 r., kiedy to hitlerowskie wojska wkroczyły na ziemie polskie, rozpoczynając tym samym II wojnę światową, co analogicznie do dzisiejszej sytuacji wywołało falę uchodźstwa. By przybliżyć realia wojny i życia na obczyźnie, proponuję Wam lekturę wzruszającej tetralogii „Owoc granatu” autorstwa Marii Paszyńskiej, na którą składają się następujące tytuły:

- „Dziewczęta wygnane”
- „Kraina snów”
- „Świat w płomieniach”
- „Powroty”.

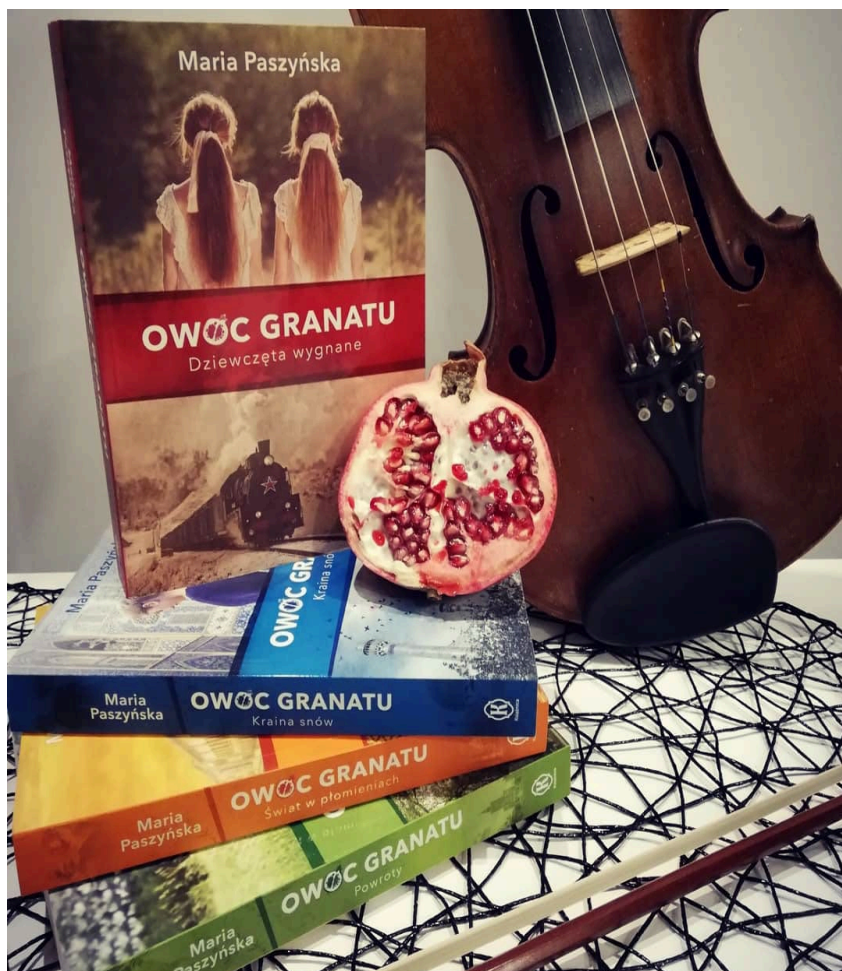
Pierwszy tom serii zapoczątkowuje opowieść o dwóch kresowych dziewczętach, którym beztrioskie wkraczanie w dorosłość zostaje brutalnie przerwane przez wybuch wojny światowej i sowiecką inwazję na Polskę. Podobne jedynie fizycznie, bo różniące się diametralnie pod każdym innym względem bliźniaczki, łączy gorące uczucie do tego samego młodzieńca. I jak to w życiu bywa, podczas gdy jedna z nich z ogromną determinacją zabiega, by uczucie zostało odwzajemnione, druga - nie musi w tym względzie podejmować najmniejszego wysiłku. Jędrzej bowiem, świata poza nią nie dostrzega i śmiało planuje wspólną przyszłość. Wojna wymaga jednak poświęceń, bezwzględnie depcząc marzenia i krzyżując plany.

Młodzieniec, podobnie jak ojciec bliźniaczek, wyrusza na wojnę, a dziewczęta wraz z matką i młodszym braciszkiem zostają zesłane na syberyjską ziemię. Dramatyczne przeżycia, jakie stają się ich udziałem oraz okrucieństwo, jakiego doznają, odciskają na każdej z nich (choć w różnym stopniu) ogromne piętno.

Kiedy cudem udaje im się (podobnie jak tysiącom innych Polek) wyrwać z syberyjskiego piekła, podążając za Armią Andersa docierają do Iranu. To tutaj, w zupełnie egzotycznym dla nich kraju, przyjmowane z ogromną życzliwością i otoczone opieką, mają szansę odzyskać spokój i zapomnieć o traumatycznych doświadczeniach. Czy będzie im dane odbudować swoje życie, a może nawet odnajdą miłość? O tym przekonajcie się już sami.

Zapewniam, że seria wciąga już od pierwszych stron, tym bardziej, że inspirowana jest prawdziwymi wydarzeniami, losami sióstr zmuszonych do życia na obczyźnie. Jej wielkim atutem jest solidna dawka historii, podana w przystępnej formie, a dotycząca w szczególności irańskiego wątku tułacznych losów byłych Sybiraków.

To także poruszająca do głębi opowieść o człowieczeństwie, poczuciu solidarności bez względu na różnice religijne i kulturowe, o sile więzi rodzinnych, miłości i wybaczeniu. Wyjątkowa, na długo pozostająca w pamięci. Polecam serdecznie!



Seria „Owoc granatu”
Autor: Maria Paszyńska
Wydawnictwo: Książnica

Mariola Sokal-Dziura
(@bookieci_k_wrazen)



„Śmierć na Nilu”

„- Miłość może być czasem przerażająca.

- Dlatego większość książek o miłości to tragedie.”

Słynny detektyw Herkules Poirot ponownie zagościł na srebrnym ekranie w najnowszej ekranizacji powieści królowej kryminału- Agathy Christie. Kenneth Branagh, (który nie tylko wyreżyserował film, ale także wcielił się w postać głównego bohatera), zabiera widzów w rejs po malowniczej rzece Nil, w sam środek Egiptu. Z pozoru spokojna podróż stanie się przestrzenią pełną zazdrości, tajemnic, skrywanych sekretów oraz zbrodni popełnionej w starym, dobrym stylu...

Młode małżeństwo Linnet Ridgeway (wyglądająca zjawiskowo Gal Gadot) oraz Simon Doyle (Armie Hammer znany szczególnie z „Tamte dni tamte noce”) spędzają wymarzony miesiąc miodowy w Egipcie. Cudowną miłosną sielankę przerywa jednak była narzeczona mężczyzny- Jacqueline, której działania zmuszają parę do zmiany scenerii i wypłynięcie wraz z grupką bliskich przyjaciół w rejs luksusowym promem. Szampańska zabawa trwa w najlepsze. Wśród gości obecny jest także nie kto inny jak Poirot. Romantyczną wycieczkę zakłóca niestety makabryczne odkrycie na statku zwłok zamordowanej kobiety. Najwybitniejszy belgijski detektyw ponownie rusza do akcji, chociaż nie będzie to takie proste. Mężczyzna odkrywa, że praktycznie każdy pasażer miał motyw i okazję do popełnienia tej straszliwej zbrodni. Przed Herkulesem niezwykle trudne zadanie wyjaśnienia wielkiego spisku. Kto i dlaczego zabił? Czy za morderstwem stoi zazdrosna dziewczyna, kuzyn, a może opiekunka bogatej matki chrzestnej? Tego nie wie jeszcze nikt. Rozwiązania nie widać, tropy się mnożą, a kolejne osoby zaczynają ginąć. Nikt nie jest już bezpieczny.

„Śmierć na Nilu” to według mnie ciekawy, chociaż momentami mocno przewidywalny kryminał. Tytułową zagadkę, która napędza całą intrygę filmu widz jest w stanie rozszyfrować bardzo szybko. Nie odbiera to jednak uroku ekranizacji. Sceneria tworzy wyjątkowy klimat, egzotyczną przyrodę ukazano w sposób naturalny. Dzięki temu podczas seansu mamy wrażenie, iż faktycznie przenieśliśmy się do Egiptu. Wszystko dzieje się tutaj bardzo szybko i dynamicznie. W filmie nie brakuje również dobrego humoru i doskonale dobranej jazzowej muzyki.



Ponadto reżyser w szczególny sposób skoncentrował się na postaci Herkulesa Poirot. Już na początku filmu możemy poznać różne wydarzenia z młodości detektywa, te związane z I wojną światową, a także historię wąsów, które stały się jego wizytówką, znakiem rozpoznawalnym na całym świecie. Podjęto próbę stworzenia portretu psychologicznego mężczyzny, co uważam za ciekawy zabieg. We współczesnych kryminałach nie jest wbrew pozorom taki popularny. Kogo z nas nie zastanawiało co tak naprawdę „siedzi w głowach” osób obdarzonych zmysłem ponadprzeciętnej dedukcji? Tragiczne doświadczenia, nieszczęśliwa miłość sprzed lat ukształtowały charakter bohatera. Tłumaczą one to, dlaczego Poirot stał się genialnym, lekko cynicznym, ale bez dwóch zdań genialnym znanym na całym świecie człowiekiem.

Serdecznie polecam ten film każdemu. Miłego seansu! ☺

Oprac. Aleksandra Chutkowska

NOC PRYZYSTANIĄ MOICH NAJGŁĘBSZYCH MYŚLI

W tych czasach ludzie są w większości pozbawieni inteligencji emocjonalnej, nie potrafią ze sobą dyskutować, a takowa polega z definicji na szczerej wymianie myśli i poglądów. Coraz częściej spotykamy się z sytuacjami, że szczerść mylona jest przez niektórych z konfliktowością, ale nie jest to bynajmniej problemem ludzi szczerych lub samodzielnie myślących. Większość odbiera cię za dziwaka, wybryk natury, ponieważ masz czelność nie wierzyć lub poddawać w wątpliwość bzdury płynące z TV czy innych mediów, bo ważysz się mieć inne zdanie. To ich problem, nie twój. Nie jest ogromnym wyczynem płynąć z prądem czy też beczeć chórem znajdując się w stadzie baranów. Sztuką jest zawyc czasem jak wilk, choćby oznaczało to niekiedy samotność. Nie musisz być lubiany za swą szczerść - ważne byś siebie lubił właśnie za nią. Poza tym ZAWSZE znajdą się odpowiedni ludzie, którzy będą myśleć podobnie jak Ty i choćby to była garstka, to jest ona warta więcej od owego stada. Uważam, że po to posiadamy to coś w głowie pomiędzy uszami, by z tego korzystać, szukając prawdy i doszukując się wątpliwości w podawanych nam jak papka wiadomościach. Nie musisz być wykształcony, ale możesz znaleźć w sobie mądrość. Zarazem będąc wyedukowanym, możesz cały czas pielęgnować w sobie bezmyślność i głupotę. Każdy ma prawo wybrać własną ścieżkę. Prędzej czy później czas zweryfikuje wszystko. Nie chodzi o to, by ktoś przyznał ci rację, lecz o to, by nikt nie miał prawa ci narzucać, że jej nie masz. Masz to coś w głowie pomiędzy uszami, a co z tym zrobisz - twój WYBÓR.

Marta Pęcak

Z Piekła do Nieba...

W dzisiejszym wydaniu pragnę przybliżyć sylwetkę Macieja Pawęzki, dawnego mieszkańca Jasiennika, którego niezwykle losy mogłyby posłużyć za scenariusz do dłuższego opowiadania.

Urodził się w biednej włościańskiej rodzinie, która od pokoleń zmagala się z trudami życia codziennego. Wynikało to z nie tyle z wielkości gospodarstwa (około 5 mórg), co z lichości tutejszych ziem, gdzie piach zmieszany z pylicą nie był w stanie dać zadowalającego plonu. Na jedno ziarno rzucone w ziemię rodziło się od 3 do 4, i to na ziemi lepszej, czyli gnojnej.

Na świat przyszedł w 1883 roku, a więc w czasie, gdy ta część dawnej Rzeczypospolitej była pod zaborem Rosji. Imperialnego państwa, które do utrzymania, a nawet poszerzenia swoich granic potrzebowała wciąż nowego rekruta. Wprawdzie pobór odbywał się poprzez losowanie, ale nikt z dorastającej młodzieży nie mógł czuć się bezpiecznym. Podobnie było z Maciejem, który podświadomie przeczuwał, że ślepy los może paść na jego osobę. Mocno to przeżywał, ponieważ będąc najstarszym z rodzeństwa mógł liczyć na przejęcie gospodarstwa po rodzicach. Wprawdzie to było skromne i zaniedbane, ale bez porównania stanowiło lepszą alternatywę w stosunku do kilkunastoletniej służby w carskim wojsku. Nie dziwny się temu, gdyż ta niejednokrotnie wiązała się, jeżeli nie z wyrokiem śmierci, to z małymi szansami na przeżycie. Car wojował dużo, a na żołnierza czekało wiele niebezpieczeństw. Jeżeli nie dosięgła go kula przeciwnika, to życie mogła mu zabrać jedna z licznych epidemii trawiąca duże skupisko ludzi, jakim bez wątpienia była wielotysięczna armia. Między innymi z tych powodów Maciej poprzysiągł sobie, że uczyni wszystko aby uniknąć branki. Nawet, gdyby miało to się wiązać z utratą zdrowia, a być może i życia. Wprawdzie mógł liczyć, że los będzie mu sprzyjać, jednakże przygotowany był na najgorsze rozwiązania.

Jest takie powiedzenie, że jak coś ma pójść źle, to na pewno tak będzie. To typowy przykład samosprawdzających się przypowieści. Słowa te idealnie wpasowały się w dalsze losy Macieja. Stało się bowiem, że ślepy los wskazał właśnie na niego.

Działo się to pewnego letniego dnia, gdzieś około 1906 roku, gdy w Jasienniku pojawił się oddział Kozaków, aby dokonać odbioru rekruta. Na liście osób „wytypowanych” do wcielenia było nazwisko Macieja Pawęzki. Na nic zdały się jego usilne próśby oraz



blagalne słowa matki. Dwaj rośli kozacy, ujawszy młodzieńca pod ramiona, usadowili go na furmance. Nadszedł czas, by ze spokojnego wiejskiego chłopca zrobić carskiego żołdata. Było już sporo po południ i słońce chyliło się ku zachodowi, kiedy zaprzęg poganiany ruskimi kłatwy ruszył na północ. Celem był odległy o trzydzieści wiorsty, Janów, do którego droga wiodła poprzez rozległe i gęste w tym miejscu lasy. Lasy, które nie tyle budziły grozę, co dawały nadzieję.

W głowie młodzieńca przelewały się różne myśli, ale żadna nie chciała zagościć dłużej niż na chwilę. Modlitwa – pomyślał. Tylko modlitwa może mi pomóc i wyzwolić. Ścisnął paciorki różańca i szeptał słowa blagalne, ale rozum wciąż trwał bez woli działania. Tak pogrążony w modlitewnym uniesieniu ledwo spostrzegł, że zaprzęg minął wieś Borowinę i wjechali w Bór Ordynacki. Trwałby tak dłużej, gdyby nie soczyste przekleństwo kozaka jadącego hen za furmanką. Był to starszy żołdat o ciemnej wąsatej twarzy oraz krępy, ale leniwym ciele. Maciej odwrócił głowę i przez chwilę patrzył na znikającą w oddali postać kozaka, stanowiącego tylne ubezpieczenie konwoju.

A może uciekać? - pytał sam siebie w myślach. Ale dokąd? - mnożył kolejne pytania. A jak usieką na miejscu? Nie! Nie godzi się wystawiać duszy oraz ciała na niepewny los.

Odwrócił raz jeszcze głowę, a nie widząc jeźdźcy, począł modlić się jeszcze z większą gorliwością. Ale była to już inna modlitwa. Więcej prosba niż bezładnie powtarzane słowa. Nie tyle modlił się, co składał uroczyste śluby. Przysiękał w myślach, że jeżeli Bóg wstawi się za nim w tę chwilę próby, to on będzie wielbił go po ostatnią minutę swojego życia. Wielbił i służył całą swoją duszą i całym swoim ciałem. Niech ten tylko natchnie go wolą działania oraz prowadzi bezpiecznymi ścieżkami ucieczki.

Panie Boże spraw, modlił się w duszy, abym miał siłę w ciele i bystrość w umyśle. Uczyn też moich prześladowców ślepymi w zmysłach oraz ociężałymi w działaniu. Boże wspomóż! Wyrzekł w pół głośno i skoczył...

Nie pamiętał jak długo biegł. Spoczął dopiero, gdy omdlałe nogi odmówiły posłuszeństwa. Dopiero wtedy spostrzegł, że z odkrytych dłoni i poranionych lic, stróżką spływała jasnoczerwona krew. Bólu nie czuł. Tylko ostatkiem sił próbował opanować drżenie członków. Wcisnąwszy się w wybujałe w tym miejscu borowiska i kruszyny, trwał w bezruchu, pilnie przy tym nasłuchując. Z każdej strony ogarniała go wszechobecna cisza, i gdyby nie szum sosen oraz śpiew ptaków dochodzący z oddali, uwierzyłby, że świat się zatrzymał. A to, co wydarzyło się przed kilkoma chwilami było tylko snem. Wprawdzie realnym, ale jednak snem...

Potem był austriacki kordon, Galicja i Kraków. Miejsce w którym przyszło mu spełnić swoje wcześniejsze przyrzeczenia oraz ślubu wypowiedziane w godzinie próby. Wstąpił do zakonu. Do klasztoru Pijarów, aby słowem i czynem dawać świadectwo wiary, ufności i oddania.

Po wsze czasy będę wielbić stwórcę za pomoc w tych najtrudniejszych chwilach mojego życia – mawiał. A gdy upadły kordony i zmartwychwstała Najjaśniejsza Rzeczypospolita, powrócił w Las Borowiński, by na pochyłej sośnie, tej która przed laty patrzyła na jego desperacki czyn, zawiesił kapliczkę, materialny znak wiary i cudu. Pamiątkę, która miała nie tyle wysławiać jego czyny, co zaświadczyć oraz zapewniać o cudzie, jaki z woli Wszechmogącego dokonał się w tym miejscu.

Na chrzcie świętym dano mu imię Maciej. On po latach nazwał siebie Glicerym. Brat, a potem Ojciec – Glicery Maciej Pawężka. Syn ziemi jasiennickiej, który nie z własnej woli, ale z woli Boga przeżył w zakonie większość swojego rozumnego życia. Zmarł w Krakowie w 1951 roku w wieku sześćdziesięciu ośmiu lat. Tam też spoczął. W podziemiach klasztoru Pijarów. Przy ulicy, a jakże by inaczej - Pijarskiej.

Jakie to było życie? Niezwykcyjne. Pewnie sam, nawet w najbardziej proroczych snach, nie przepuszczał, że w tenże sposób Bóg pokieruje jego losem.

W tym miejscu nie mogę oprzeć się mądrości ludowego przysłowia, które mówi, że tam gdzie człowiek planuje, tam Pan Bóg się śmieje. Prawdziwe słowa. Czyż nie mamy takich przykładów z własnego życia? Czyż nie stawaliśmy przed wyborem, który decydował o naszym dalszym życiu. Śp. Maciej (Glicery) na decyzję miał tylko ułamek sekundy. Ale ten ułamek decydował o jego życiu bądź śmierci. My (na razie) nie stoimy przed takim wyborem. I obyśmy nie musieli stanąć przed nim w przyszłości. Chcę tylko powiedzieć, że kim jesteśmy oraz jak wyglądać będzie nasze życie, decyduje niejednokrotnie krótka chwila. Dlatego módlmy się, by podobnie jak w przypadku Macieja, umieć zrobić krok w odpowiednią stronę. Krok ku życiu i szczęściu.

A co z kapliczką? Ta wciąż trwa i wciąż zaświadcza, że dokonał się tutaj czyn niezwykcyjny. Cud wyproszony gorącą modlitwą i wolą działania. Wprawdzie sosna, na której znalazła oparcie zbliża się do kresu swoich dni, ale wciąż otula ją przyjaźnie narosłymi ramionami. Dosłownie, bowiem narosła kora okryła ją jak płaszczem królewskim. Kapliczka również zestarzała się, ale nie dziwmy się temu, ponieważ trwa tutaj już wiek cały. Równe sto lat.

Którego ze świętych wizerunek skrywa? Nie wiem. Są wprawdzie resztki obrazu, ale w stanie, który nie da się odczytać. Czy to ważne? W pewnym sensie tak. Bowiem dobrze byłoby wiedzieć, który ze świętych wykazał się tak wielką skutecznością



Andrzej Wójcik

MOST

Mroczna i pomarszczona rzeczna toń połyskiwała tysiącem drobnych odbić światła niedalekiego miasta. Jego odgłosy już tu nie docierały, widok więc miał w sobie coś z obrazu uzdolnionego pejzażysty. Popchnięty butem kamyczek potoczył się pod barierką i pomknął trzydzieści metrów w dół na spotkanie wody. Przyjęła go bezgłośnie i nic się nie zmieniło w jej biegu.

Adam stał wyprostowany, z dłońmi opartymi na metalowej barierce i patrzył przed siebie. Szeroka wstęga wody ciągnęła się daleko do przodu, lecz maleńkie odbłyски coraz bardziej zanikały w dali, w miarę jak jej kolor zlewał się w ciemną jedność z otoczeniem. Poza cichym pomrukiem wody nic innego nie zakłócało ciszy. Wiadukt znajdował się już poza granicami miasta i rzadko kiedy pojawiał się ktoś przeprawiający się nim na piechotę. Dla bezpieczeństwa ewentualnych chętnych, wybierających się w pobliskie lasy, wytyczony został na skraju wąski chodnik, zaś cała reszta, odgradzona siatką, zajęta była przez podwójne torowisko.

Niemniej, miejsce było dość znane, głównie ze słyszenia lub lektury codziennych gazet, jako że używane było od czasu do czasu w specyficznym celu. I to prawie zawsze jednorazowo. Przyciągało tych, którym rachunek plusów i minusów wychodził poniżej zera. Dużo poniżej. W wersji przewrotnej miało nazwę Niezawodnego. Jeszcze nikt ze skaczących, tych z mocno ujemnym bilansem, nie został odratowany i na zawsze kończył swoje rozrachunki ze światem w głębokiej, rwącej toni.

Adam przenosił wzrok coraz bliżej, aż ujrzał czubki swoich butów wystające spod barierki. Zastanowił się przez moment, dlaczego wybrał akurat te. Nie przywiązywał się przecież raczej do miejsc, tym bardziej do żadnych rzeczy. Bo były najmniej znoszone...?

W pewnym momencie poczuł jakiś psychiczny dyskomfort i zdał sobie sprawę, że kilka kroków od niego ktoś przystanął. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo, więc zerknął spod oka w prawo. Ciemno obrany mężczyzna oparł się łokciami na tej samej barierce i patrzył w wodę. W ciemności zarysy twarzy były niewiele widoczne, mimo to Adamowi wydawało się, że nieznajomy może być w jego wieku, czyli po pięćdziesiątce, ale nie był pewien. Cóż to zresztą za różnica. Stali tak obaj, przestępując od czasu do czasu z nogi na nogę i zerkając ukradkiem na siebie nawzajem.

- Długo pan planuje tak tutaj ... – nieoczekiwanie odezwał się przybyły cichym głosem.

- Słucham? – Adam zwrócił głowę w jego kierunku.

- Pytam, czy pan tu jeszcze będzie długo – padło głośniejszym głosem.

Zapytany namyślał się chwilę, zanim odpowiedział pytaniem:

- A jakie to ma dla pana znaczenie?

- No ... ma. Gdyby pan był tak uprzejmy ... chciałbym zostać sam. Mam do przemyślenia ważne sprawy.

- Widzi pan, tak się składa, że ja też sobie chciałem tu w spokoju pomyśleć. No i, jak pan zauważył zapewne, byłem tu wcześniej.

- Yhm ...

Wyglądało, że zatopili się obaj w swych myślach, gdyż zapanowała cisza. Gdzieś z oddali dobiegł odgłos samolotu, startującego z podmiejskiego lotniska.

- To jedyne miejsce, gdzie może pan myśleć? – zapytał Adam nie spoglądając w bok. Tak naprawdę, nie chciał nawiązywać rozmowy. Ale miał nadzieję, że uda się zniechęcić nieznajomego i pozostać na moście samemu.

- Równie dobrze mógłbym pana o to samo spytać, nie?

- Sądzi pan?

- Na ryby przecież pan tu nie przyszedł, nie?

- Ani pan.

- Hmm... - nieznajomy pokiwał nieznacznie głową. - No, tośmy się, cholera, zrozumieli – westchnął jakby do siebie.

- To takie dziwne, że się ludzie czasem rozumieją? – Adam spojrzał w bok, obrócił się nieco bokiem i oparł łokciem na barierce.

Drugi mężczyzna uczynił podobnie i po chwili stali do siebie twarzą w twarz, choć oddaleni o kilka metrów od siebie.

- Też pytanie... – padła opóźniona odpowiedź. – Nie jest pan tutaj przecież dlatego, że się panu udawało porozumieć z ludźmi, nie?

- Co pan może wiedzieć? ... – Adam ponownie zwrócił się znowu twarzą do rzeki. – Taki mądry a ... – zawiesił głos.

- ... a sam tu stoi, co? To chciał pan powiedzieć.

- Co chciałem, to chciałem, moja sprawa. A tak w ogóle, to nie mógłby pan przyjść tu jutro?

- Człowieku, w takich przypadkach nie ma żadnego jutro.

Adam musiał w myśli przyznać rację nieznajomemu, gdyż sam z kolei pokiwał głową. Księżyc na chwilę przedarł się przez chmury i nieco światła padło na stojących obok siebie mężczyzn. Obaj, jak na rozkaz, spojrzeli jednocześnie na siebie nawzajem i mogli dostrzec swoje twarze. Właściwie spoglądali tylko w swoje oczy, jednakowo ciemne i nieruchome, jak i całe ich sylwetki. Poświata powoli zanikła, twarze ogarnął mrok, lecz oni zdawali się tego nie zauważać, jakby szczegóły wcale nie miały znaczenia. Jakby każdy z nich odniósł wrażenie, że widział w drugim siebie samego. Albo jak dwaj podróżni, szykujący się do wejścia na statek, nie interesując się zupełnie dokąd ma odpłynąć.

- Jestem Sebastian – usłyszał Adam i zobaczył, że mężczyzna podszedł bliżej o parę kroków.

- Adam – odpowiedział po chwili, nie wyciągając ręki. Tamten zresztą też tego nie uczynił.

- Zdaje się, że żaden z nas nie ... no, nie pójdzie do domu, co?

- Ja na pewno. Zresztą już go nie mam.

- No to tak jak ja – Sebastian odbiegł wzrokiem w bok i opuścił głowę ku wodzie.

- Ciekawe – mruknął Adam z powątpiewaniem w głosie. – Nie wyglądasz, jakbyś wyszedł z jakiejś dziury.

- Racja. Bo ze szpitala.

- Co, wypisali cię i nie masz dokąd wrócić?

- Nie wypisali, uciekłem. Mam dosyć umierania na raty. Pół roku wystarczy. – Sebastian skrzywił się mimo woli.

Adam miał ochotę jeszcze bardziej podejść i spojrzeć na niego z bliska, lecz się powstrzymał, jakby gest taki mógł zostać potraktowany jako zbyt osobisty.

- Ale ... – zaczął niezdecydowanie – nie wyglądasz... źle.

- Zbierałem prochy od trzech dni, żeby się wziąć w garść na dwie, trzy godziny. I mówiąc prawdę, zabierasz mi teraz mój czas.

- Słyszałeś, ja też już nie mam dokąd wrócić. Wszystko zlikwidowałem, sprzedałem, wysłałem pieniądze i ... no i koniec.

- Czemu?

- Bo mi już niepotrzebne.

- Jak to, człowieku?

- Tak to, daj mi spokój – Adam oparł się na obu łokciach i ukrył twarz w dłoniach.

Sebastian popatrzył chwilę na niego, wyprostował się i spojrzał w niebo. Było całe zachmurzone, prawie czarne. Zdziwił się, że nie pada. Nie zanosilo się na to, że księżyc znowu wyjdzie. Powiał wiatr od strony miasta i przyniósł nieco jego szumu. Co to właściwie tak szumi? – zapytał sam siebie w myślach. – Życie?

- Może jednak powiesz? – zagadał po chwili cichym głosem.

Jednak Adam się nie odzywał. Trwał jak skamieniały i tylko unoszące się przy oddechu plecy świadczyły, że jest żywą istotą. W końcu uniósł głowę i rzekł przed siebie:

- Nigdy nie umiałem o sobie mówić i pewnie dlatego nie mogłem się porozumieć. A jednocześnie tyle miałem do powiedzenia. Może dlatego ją straciłem. Później, gdy się coraz więcej nazywało, zacząłem sobie jakoś radzić. Czego nie umiałem powiedzieć, pisałem albo grałem. Ale jakiś czas temu coś się zacięło. Siadam nad papierem i nic. Pustka. Od roku nic nowego nie potrafię zagrać. A kiedyś bywało, że siadałem przy klawiszach wieczorem i dziwiłem się, że nagle za oknem robiło się widno. Jezu! Warto było żyć, żeby tego później móc słuchać. No i wciąż na nią czekałem. Ciągłe wmawiałem sobie, że to przejściowe, że zaraz się zmieni. Dwanaście lat. Prawie cztery i pół tysiąca dni nadziei. Rzadko się widywaliśmy, bo wyjechała daleko. Dużo za daleko, niestety. Trudno powiedzieć dlaczego, ale dopiero gdy spotkaliśmy się ostatnio, dotarło do mnie, że nic się już nie powtórzy. I że to koniec. No, chciałeś, to masz – wyrzucił wszystko prawie jednym tchem.

Sebastian czekał na dalszy ciąg, lecz po dłuższej chwili milczenia odezwał się:

- Mówią, że to przechodzi.

- Mówią ci, którzy tego nie znają. Przez te lata miałem jakiś cel. A bez celu nie umiem żyć.

Sebastian słuchał i usiłował wyobrazić sobie człowieka przelewającego na papier słowa nadziei, a może wspomnień, których nie był w stanie wypowiedzieć przed innymi. Potem grającego muzykę, której nikt inny stworzyć by nie umiał. Gdy słowa ucichły, przez moment wydawało mu się, że kolejny poszum wiatru przyniósł delikatne, harmonijnie poukładane dźwięki. Nigdy wcześniej mu się to nie zdarzyło.

- To nie to samo – odezwał się w końcu – ale ja również nawiałem dlatego, że dłużej nie było już sensu. Co, liczyć tylko upływające dni? Pamiętać lepsze czasy? Pamiętać błędy, których już nie idzie naprawić?

- Tak mówisz. A wiesz na pewno, że nic już ci nie pomoże?

- Wiem. Kiedy przedwczoraj mnie zaszywali, widziałem jak pokiwali tylko głowami. Słuchaj, zrozum, czuję, że powoli zaczyna mi się robić gorąco. Jeszcze pół godziny i będzie ze mnie wrak, a chcę wiedzieć co robię. Mam jeszcze prochy, ale to już bez sensu. Więc zostaw mnie samego, dobrze?

Adam zamyślił się i odrzekł:

- Mam inny pomysł – rzekł przed siebie. - Skoczmy razem.

Nad ich głowami rozległ się łopot ptasich skrzydeł. Kiedy przebrzmiał, zapanowała niezmacona cisza. Z powodu coraz późniejszej pory przygasły nieco światła miasta i nurt pod ich stopami stał się mniej połyskliwy. Adamowi przypomniały się słowa piosenki śpiewanej przed laty przez znany duet - Most nad Rzeką Zmartwień. „*I will comfort you*” – pocieszę cię. Ciekawe, czy mieli to samo na myśli?

Sebastian dźwignął powoli nogę, przechylił się i znalazł się na zewnątrz, stając na gzymsie i trzymając się z tyłu barierki. Adam obserwował jego ruchy, przełknął ślinę i uczynił to samo. Stojąc tak z ramionami do tyłu, wyglądali jak ptaki szykujące się do odlotu. Sebastian sięgnął jedną ręką do kieszeni kurtki, wyjął plastikową buteleczkę i cisnął ją do rzeki. - Już mi niepotrzebne – rzekł widząc ruch głowy Adama. – Ale tobie to bym jednak radził jeszcze się zastanowić. Co to jest rok, człowieku? Siądziesz do klawiszy, golniesz drinka, zrobisz muzykę do filmu i jeszcze dostaniesz Oscara.

- Nic z tego. Ostatnio głuchnę. Ale nawet dobrze, że mi przypomniałeś – Adam sięgnął do ucha i po krótkiej manipulacji wydobył niewielki przedmiot. – Mój aparat, też już niepotrzebny.

Zamachnął się by rzucić go przed siebie, lecz w ostatniej chwili zmienił zamiar i umieszczając go ponownie w uchu powiedział:

- To by było na tyle. Jeśli chcesz mi jeszcze coś powiedzieć, masz ostatnią okazję.

Sebastian powoli pokręcił głową i skrzywił się jakby go coś zabiolało.

- Chyba nie – odparł. – Złapiemy się za ręce? Ale czekaj, czekaj! Coś mi się cały czas nie zgadzało i już wiem co. Na początku powiedziałeś, że wszystko zlikwidowałeś, czy tam sprzedałeś, i wysłałeś pieniądze. Pamiętasz?

- No ... pamiętam. Ale daj już spokój.

- Komu wysłałeś? – naciskał Sebastian.

- Jak to komu? Co cię to obchodzi?

- Zaraz, zaraz. Jak mamy to zrobić razem, to musimy być wobec siebie fair, nie uważasz?

- Jezu, człowieku! W takiej chwili chcesz mi włożyć na sumienie?

- O! Ktoś tu mówi o sumieniu? – głos Sebastiana wydawał się brzmieć autentycznym zdziwieniem. – To coś nowego. Gadaj, komu wysłałeś pieniądze.

- Bo co? Jakie to ma znaczenie? – Adam podniósł nieco głos.

- Bo czuję się trochę oszukany. Nie skocz z tobą, jeśli mi nie powiesz.

Adam spojrzał w prawo na stojącego obok Sebastiana i gdyby nie ciemności, tamten ujrzałby jego zaciśnięte usta. Po chwili przełknął ślinę, odwrócił głowę i powiedział zrezygnowany:

- Wysłałem do syna.

Teraz z kolei Sebastian powoli obrócił twarz w kierunku towarzysza. Spuścił na moment głowę i pokręcił nią, jak gdyby sam sobie przeczył w myśli.

- No to mnie jednak oszukałeś – szepnął.

- Co?

- Aha – Sebastian zrozumiał, że mówi za cicho i powtórzył głośniejszym głosem: - Oszukałeś mnie jednak . Nie masz dla kogo żyć, tak?

- Uff. Musisz mnie dobijać? Czy ja się ciebie czepiam, czemu nie chcesz się dalej leczyć?

-No, kolego! – teraz Sebastian podniósł głos. – Chyba przesadziłeś. To jest tylko moja sprawa. A twój syn, to jednak już co innego. W ogóle, to wkurzasz mnie. Chciałem to zrobić na spokojnie a teraz to ... I jeszcze wyrzuciłem te cholerne piguły! Włazę z powrotem – obrócił się i taką samą techniką jak poprzednio, nad poręczą, przedostał się na chodnik. Chwycił mocno barierkę, jakby chciał się do niej przyspawać.

Adam rozejrzał się niezdeterminowanie, pomyślał chwilę i bez słowa zrobił to samo. Stali teraz jak przedtem, wyprostowani, z dłońmi na metalowej poręczy. Wyglądało, jakby obaj chcieli spojrzeć jak najdalej przed siebie. Ciemność była jednak już coraz bardziej nieprzenikniona.

- Szczerze mówiąc – zaczął Adam – to też mi się u ciebie coś nie zgadza.

- Tak? A mianowicie?

- W tej twojej buteleczce grzechotało jak w pełnej. Nie dałbyś rady tyle nazbierać w trzy dni. Co to było?

- Patrzcie! Głuchy a tak ... – Sebastian nie dokończył. Położył dłoń na ramieniu Adama i dodał bardziej przyjaznym tonem: - Przepraszam, nie chciałem cię urazić.

- W porządku – w głosie Adama nie czuć było pretensji. – No to jak z tym twoim szpitalem?

- Rozumiem, że ty mi wtedy powiesz co z twoim synem.

Adam w odpowiedzi pokiwał głową. Dłoń na jego ramieniu zadrżała i Sebastian natychmiast ją cofnął.

- Te piguły to wcale nie na raka. Czasami pomagają mi pozostać człowiekiem. No wiesz...

- To znaczy co, pijesz?

- I nie dałem sobie z tym rady.

- I to miałyby być twój koniec świata?

- Nie mów, skoro nie wiesz. Ja nie chciałem na świecie tylko być. Ja chciałem być człowiekiem. To nie jest to samo. A nawet zupełnie co innego.

- No dobrze, ale ... A może powiesz mi, czemu w ogóle zacząłeś?

- Jezu! Nie pytaj mnie – Sebastian zaczął dreptać w kółko aby się nieco rozruszać. – Teraz ty.

Adam też zrobił parę kroków w tę i z powrotem oraz pomachał rękami dla rozgrzewki. Była już pełna noc i lekko się ochłodziło. Oparł się plecami o stalowy filar i rzekł:

- Dwa razy w życiu zawiodłem mojego syna. Nigdy umyślnie, ale to nie zmienia faktu, że on tak to czuł. Raz wyszło na to, że go zignorowałem, zaś za drugim razem za mało o nim wiedziałem, gdy miał problemy. Wyjaśniałem, przeprosiłem, on twierdzi, że nie ma sprawy, ale nigdy sobie tego nie mogłem wybaczyć. Później znowu się zbliżyliśmy, starałem się mu pomagać, ile się da. Właśnie się ożenił, wiem jakie mają plany. Wiesz, własny domek i tak dalej. Więc zanim się tu zjawiłem, sprzedałem wszystko czego się dorobiłem i im wysłałem.

Słuchając, Sebastian co chwila kręcił głową. - I ty naprawdę chciałeś mu to zrobić? – zapytał. – Trzeci raz? Teraz to już on by ci na pewno nie wybaczył.

- No to co ja mam zrobić, jak żeś taki mądry? Gnić bez celu? A może zacząć tak jak ty? Od rana wypić aby przeżyć kolejny dzień, wieczorem aby dotrwać jakoś do rana? Albo i jeszcze w środku nocy zapieprzać do nocnego po flaszkę, gdy silna woła zawiedzie?

- O, żesz ty! – wyrwało się Sebastianowi. – A skąd ty to tak dobrze wiesz, co? Trudno uwierzyć, że to tylko wyobraźnia...

- Daj mi już spokój – Adam nie pozwolił mu dokończyć. – Co ty możesz wiedzieć jako ojciec? Zaraz, masz dziecko?

- Nie mam.

Głuchy ton Sebastiana kazał Adamowi spojrzeć na niego. Pochylił się, aby lepiej widzieć twarz, ale nie na wiele się to zdało.

- Co z tobą?

- Nic. Nadal nie mam syna.

- Nie chrzań, dobra! Co jest grane? Co tak dziwnie gadasz?

Tym razem Adam musiał dłużej poczekać na odpowiedź. I kiedy już miał się o nią ponownie upomnieć, usłyszał z ciemności:

- Chciałbym mieć twój kłopot. Chciałbym mieć nawet wszystkie twoje kłopoty. A przede wszystkim, chciałbym mieć znowu mojego syna.

Mówiąc to Sebastian kucnął i powoli usiadł na krawężniku obok stojącego Adama. Podciągnął nogi i objawszy je rękami wsparł na nich brodę. W pogłębionym jeszcze przez filar cieniu wyglądał jak mały chłopiec. Adam również przysiadł i sam z kolei objął go ramieniem.

- No, mów.

- Krótka historia. W samochodzie ja, moja żona i mój synek, z boku wyjeżdża ten rowerzysta, ja go chcę ominąć, on jedzie dalej, my w rowie. A potem podwójny pogrzeb, ja w szpitalu. Kiedy wyszedłem, na ich grobie wszystkie kwiaty już dawno powiędły.

Adam doszedł do wniosku, że nic co by powiedział, nie będzie właściwe. Cofnął rękę, gdyż współczucie mogłoby się wydać zbyt natarczywe. Bezwiednie przyjął taką samą pozę jak Sebastian i trwali jakiś czas bez ruchu.

- Nie mówiłem tego już ze dwadzieścia lat – odezwał się Sebastian.

- Może powinienś był?

- Nie mogłem. Nie umiem pisać ani grać, jak ty. Chciałem więc zagłuszyć.

- To musiało być dawno. Co się stało, że akurat teraz tu przyszedłeś?

- Przez wiele lat udawało mi się kontrolować. To znaczy padałem i podnosiłem się, tak falami. Ale od dwóch lat to już beznadzieja.

Noc nadal była spokojna, cicha i ciemna. Adam wyczuł butem spory kawałek odłupanego betonowego krawężnika. Podniósł go, ważył przez chwilę w ręce i wyrzucił za barierkę. - Słyszałeś plusk? – zapytał po dłuższej chwili.

- Tak – padła odpowiedź. – A ty?

- Nie. Cudów nie ma.

Sebastian pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Masz jakieś lokum? – podjął znowu Adam.

- Taka komunalna sublokatorka.

- A co się stało dwa lata temu?

- Zmienili się sąsiedzi. Wprowadzili się nowi i myślałem, że oszaleję. Młode małżeństwo z... Ma takie fajne loczki..., znaczy się, ich synek.

Adam zamknął oczy. Wydawało mu się, że widzi Sebastiana, nasłuchującego przez drzwi przed opuszczeniem swego pokoju, aby czasem nie wyjść na wspólny korytarz, gdy buszuje tam ten malec.

- Aha – rzekł po chwili. - Wiesz co? Przypomniałem sobie tę twoją buteleczkę. Wiem jak możesz rzucić picie.

- Co?

- Mówię serio. Już byłem kiedyś świadkiem takiego wyczynu, no... powiedzmy podobnego.

- Nie rób jaj. Lepsi mi doradzali.

- Posłuchaj. Pewien człowiek robił coś niewłaściwego, to znaczy używał niewłaściwej rzeczy i nikt nie wiedział jak go oduczyć. Któregoś dnia stałem z nim w otwartym oknie i obserwowaliśmy ptaki. Spytałem go, czy chciałby być kiedyś taki wolny jak te ptaki. „Bardzo bym chciał, tylko jak to zrobić?” – odpowiedział. Ja mu na to, że trzeba się samemu pokonać. „A jak?” – pyta dalej. Mówię: „- Na przykład pokazać taką silną wolę, żeby wyrzucić coś, do czego jesteś zmuszony i przyzwyczajony. Weź to, wyrzuć przez okno i powiedz: koniec”. Pomyślał chwilę, zamachnął się i wyrzucił przez okno. I był wolny. Koniec raz na zawsze.

- Eee... Takie bajdurzenie ku pokrzepieniu serc.

- To nie bajka, człowieku. Przysięgam na co zechcesz.

- Tak? No to co to było?

- Smoczek.

- Co?!

- Smoczek mojego synka. Miał już trzy latka i zaczynały się problemy z zębami.

Adam spojrzał uważnie na Sebastiana, jakby się obawiał jego reakcji. Uspokoił się nieco, gdy ten trwał nieporuszony i cichy. Jakby w ogóle nie usłyszał ostatniego zdania.

Przeciągnął kilka razy dłonią po krótkich włosach, tak jak się strzepuje kurz.

- Pewnie byłeś z niego dumny, co? – głos Sebastiana brzmiał łagodnie.

- Małe piwo w porównaniu z tym, jaki ON był z siebie dumny.

- Ale to na nic. Tabletki już dawno w wodzie i nie mogę ich ponownie wyrzucić.

- Przypomnij sobie moment jak rzucałeś. Ja pamiętam.

Powiało nieco chłodniejsze powietrze, aż obaj wzdrygnęli się. Gdzieś w oddali znowu zaburczały silniki samolotu. Mijały kolejne minuty.

- To ja mam wracać, tak? – rzekł znowu Sebastian, zaś Adam w pierwszej chwili zupełnie nie skojarzył jego słów. – Żebyś ty miał wolną drogę? Jak jesteś taki cwany, to sobie jeszcze dokładniej przypomnij ten rzut przez okno, który mi tak ładnie opisałeś, i najpierw sam wróc załatwić tę swoją sprawę.

- Ale co ja mam do załatwienia?

- Nie wiesz niby co? To ma być wymówka? Chcesz skoczyć sam? Nic z tego, bracie. Albo skaczemy razem, albo jedziesz budować ten dom. Piękny, wspaniały dom dla twojego syna. To nie jest cel?

Słowa zawisły w powietrzu jak akord kończącej się sonaty, tuż przed pierwszymi brawami publiczności. Adam przez jakiś czas bez słowa wpatrywał się niewidzącym wzrokiem przed siebie.

- A ty? – mruknął lekko zachrypniętym głosem.
- Co ja? Przecież mamy umowę. Jeżeli, to tylko razem. Ile to może potrwać?
- Co?
- No ta budowa.
- Budowa? Ja wiem? Jakiś rok...
- No to spotkamy się tutaj równo za rok. I zobaczymy.

Na horyzoncie pojawiły się pierwsze przebłyski zbliżającego się świtu. Miejskie światła powoli zaczynały blednąć a rzeka przybierać bardziej naturalny kolor. Wody chyba przybyło, bo jakby nieco przyspieszyła od czasu, gdy się spotkali, tak że Adam jak przez watę ponownie mógł usłyszeć jej szum. Znowu przypomniała mu się tamta piosenka. Simon and Garfunkel śpiewali: „*friends just can be found, like a bridge over troubled water*” – przyjaźń jak most nad rzeką zmartwień...

Obaj mężczyźni stali teraz naprzeciwko siebie. Podali sobie ręce, zaś Adam klepnął Sebastiana w ramię i rzekł:

- Trzymaj się.
- Ty też.

Jak na komendę odwrócili się i każdy ruszył w swoją stronę. Po kilku krokach Adam usłyszał za plecami Sebastiana wołającego jego imię i zatrzymał się.

- Adam! Na jakim instrumencie najłatwiej nauczyć się grać?
- Ja wiem? - odkrzyknął nie odwracając się. - Może gitara?

Nie mógł zobaczyć, jak tamten podniósł wzrok i dostrzegł cienie ptaków, łopoczących skrzydłami nad jego głową. Zatoczyły mały okrąg i odleciały w dal, kierując się ku miejscu, w którym spodziewały się ujrzeć wschodzące słońce. Sebastian podniósł kamyk, przerzucił kilkakrotnie z ręki do ręki i wzięwszy mocny zamach, cisnął go najdalej jak mógł do wody. Śledził lot wzrokiem, zaś gdy stracił już go z oczu, otrząpał dłonie i ruszył nieśpiesznie przed siebie.

- Tylko skąd ja wezmę gitarę? – wzruszył ramionami. – Pożyczysz mi?..

Juliusz Rafeld

Drodzy Czytelnicy!

W obliczu tragedii jaka spotkała naszych wschodnich sąsiadów trudno pisać o trendach modowych. Nie możemy jednak porzucić normalnego życia i zamartwiać się ciągle niepewną przyszłością. Przyszłość zawsze jest niepewna, a jednak jakoś musimy żyć, musimy planować. Pomagajmy innym, jeżeli jest taka potrzeba, ale pomagajmy mądrze. Niestety niektórzy w pomocy widzą okazję do opróżnienia swojej garderoby z niemodnych, zużytych ubrań. Czy chcielibyśmy nosić ubrania stare?

Z drugiej strony postawmy się w sytuacji osób, które potrzebują wszystkiego. Pomóżmy im najlepiej jak powinniśmy. A jak to zrobić? Każdy pewnie już wie, bo jesteśmy narodem dobrym, gościnnym, który potrafi dzielić się tym co ma z potrzebującymi.

Wróćmy jednak do tematu naszych artykułów.

Przysłowie perskie mówi: „wygląd zewnętrzny człowieka to strona tytułowa jego wnętrza”. Wrażenie wizualne jest bardzo ważne dla powodzenia w życiu zawodowym i prywatnym. Jeżeli dobrze wyglądamy to czujemy się pewni i radośni. Jesteśmy odważniejsi, naładowani pozytywną energią. Inni postrzegają nas też przez pryzmat naszego wyglądu. Odpowiednim ubiorem możemy zaakcentować nasze mocne strony. Możemy też zatuszować słabości, jeśli uważamy że takowe mamy. Znajdźmy swój indywidualny styl a będziemy czuć się zawsze wyjątkowo.

Rozmawiając o potrzebach z zakresu mody usłyszałam, by napisać o stosownym ubiorze do danej sytuacji, na daną uroczystość.

Myślę, że niektórym znane jest słowo DRESS CODE, czyli stosowny wygląd. Co konkretnie oznacza to słowo? Dress code to zbiór zasad, dobieranie stroju do okazji, czasu i miejsca. Na przykład przy wyborze pracy powinniśmy wziąć pod uwagę, że w niektórych zawodach obowiązuje odpowiedni strój. Pracodawca ma prawo wymagać od pracowników, by nosili strój służbowy. Prawo to zapisane powinno być w regulaminie pracy. Zasady ubioru służbowego muszą szanować godność i inne dobra osobiste pracowników, czyli nie mogą przekraczać granicy dobrego smaku.

U osób zajmujących się biznesem odpowiedni strój mówi o ich profesjonalizmie. Odpowiedni ubiór na przyjęcie wyraża szacunek do gospodarzy i uroczysty charakter przyjęcia. Stylizacja na rozmowę kwalifikacyjną to kluczowa kwestia, która wpływa na pierwsze wrażenie pracodawcy. Dress code w pracy powinien opierać się na elementach klasycznej elegancji i stosownych kolorach.

Dress code na co dzień pozwala na wyrażanie siebie, swoich myśli, nastroju. Opiera się na wygodnych ubraniach. Jeżeli dodamy trochę więcej elegancji możemy taki swobodny strój ubrać np. do szkoły, na wakacje, do sklepu, na spacer. W ten sposób będziemy czuć się swobodnie i odpowiednio do sytuacji.

Cocktail dress code – ubiór idealny na wesele i nie tylko. Obowiązuje na przyjęciach popołudniowych. To eleganckie stroje na ważne uroczystości. Powinniśmy jednak pamiętać o miejscu, w którym ma miejsce uroczystość. Rozważyć czy strój pasuje szczególnie, gdy odwiedzamy miejsca sakralne.



Dress code wieczorowy troszkę może różnić się od ubioru na uroczystości. Będą to stroje o bardzo wytwornym charakterze. Taki styl będzie odpowiedni do teatru, na wyjątkowe przyjęcie.

Zatem odpowiednio dobrany strój do sytuacji świadczy o wyczuciu estetyki, wychowaniu i o dobrych manierach. Każdy z nas ma takie wyczucie w co ubrać się do pracy, do kościoła, na spotkanie biznesowe, czy starając się o nową pracę. Jeżeli oprócz stroju mamy jeszcze dobry humor to satysfakcja gwarantowana w każdej sytuacji. Tego życzę wszystkim z całego serca.

Irena Bartoszek

WSPOMNIENIA SPRZED LAT

SZARA GODZINA

Mój Tato odszedł do wieczności 4 dni przed Wigilią 2004 roku. Były to wtedy najsmutniejsze Święta Bożego Narodzenia. Biały opłatek, choinka i żałoba w całym domu, w każdym z Nas z osobna. Uczyliśmy się żyć bez Niego z nadzieją że czas leczy rany. Mijały dni, miesiące, lata...poukładaliśmy wszystko na nowo, codzienność weszła na inne, ale przyjazne dla Nas tory. Minęły lata...niektórzy dorośli, niektórzy zestarzelili się, każde z Nas żyło po swojemu ale byliśmy razem. Nadszedł okres przedświąteczny ubiegłego roku...w ciągu niespełna dwóch tygodni straciłam Brata i Mamę. Szok, ból i świadomość że słowo "nigdy" jednak istnieje i ma niewymierny sens. Kiedy ucichł zgiełk i kiedy dom opustoszał, kiedy kolejna Wigilia, Boże Narodzenie, Nowy Rok zostały okraszone łzami nadeszły szare godziny.

Przekonałam się, że można spać z otwartymi oczami, żyć ale "nie żyć". Paciorki różańca między palcami i patrzenie w Siebie a nie przed Siebie, niechęć do jakichkolwiek rozmów i kontaktów na zewnątrz. Ja wtedy także "umarłam", to co było straciło na ważności, to co miało nastąpić przestało być ważne.

Wiedziałam, że muszę się ogarnąć sama, nauczyć żyć od nowa...Dni mijały bardzo powoli, zaczęłam czuć się bardziej stabilnie. Przekonałam się że są osoby na których mogę polegać w każdej sytuacji. Po kilkunastu latach poszłam do Spowiedzi, zbliżyłam do Kościoła i nie tylko dla Tych którzy odeszli ale i dla Siebie. Wciąż nawiedzają mnie Szare Godziny i rozpacz, że przeszłość nie wróci, a teraźniejszość mnie przeraża. Słowa modlitwy i różaniec w dłoni przynoszą ulgę. Jestem Sama "w tłumie", przeorganizowałam znajomości, nadal nie mam ochoty na rozmowy...ludzie boją się smutku, łez, pesymizmu życiowego.

Tyle wiemy o Sobie ile Nas sprawdzono...święta prawda, jesteśmy silniejsi niż Nam się wydaje. Moje życiowe puzzle nie jeden raz zbierałam na kolanach, układałam od nowa i żyłam dalej. Okrzełam w "boju", oczy wyblakły od łez, samotność ma słony smak, ale można nauczyć się jej na pamięć. Parafrazując Szymborską powiem :

*Czemu ty się zła godzino
z niepotrzebnym mieszasz lękiem
Jesteś a więc musisz minąć
miniesz no i to jest piękne...*

Anna Niedźwiecka

WIERSZE Z SZUFLADY

Obrońcy Kijowa

nastał poranek
wiosennego przebudzenia czas
lecz zamiast uśmiechu
ciszę przerywa strzał
tam są matki oraz dzieci
tam na twarzach widać strach
lecz odwagę rodzi serce by przepędzić Was
diabły diabły
precz od Naszej ziemi
Kijów walczy i nie podda się
CHCECIE PIEKŁA TO WAM DAMY JE

rosną barykady na podwórkach miast
karabiny sła sygnały nadszedł walki czas
choć propaganda szerzy nie ufamy jej
My mieszkańcy Ukrainy w naszych żyłach krew
Kijów Kijów on nie podda się
Kijów Kijów to wolności gniew

wasze czołgi i sztandary spłoną dziś na wiór
nie zostanie po nich nawet wspomnień sól
nasza wolność w duszy sercu
przegna Was do wrót
zobaczycie wtedy Moskwę jej ostatni gród

Kijów Kijów nic nas nie zatrzyma
Kijów Kijów do utraty tchu
Kijów Wam wykopie grób

Dave Vantor

Dopiero się miało

na lato
zazieleniła się droga
do pracy
ciepłe (jak kobiece uda)
otulały poranki

dopiero się miało
na lato
i wszystko nagle
tak po prostu
w kilka sekund
(jak światło w pokoju)

zgasło

J. Bożek Krasoń

STOPKA REDAKCYJNA

Redakcja: Joanna Bożek-Krasoń

Opracowanie graficzne: Natalia Bożek

Współpraca: Piotr Flor, Mariola Sokal-Dziura, Aleksandra Chutkowska, Andrzej Wójcik, Juliusz Rafeld, Anna Niedźwiecka, Irena Bartoszek, Marta Pęcak, Dave Vantor

Adres redakcji: Huta Krzeszowska, ul. Łąkowa 29, 37-413 Harasiuki

E-mail: wioska.na.krancu@wp.pl

Tel: 535455794

Nr w rejestrze Dzienników i czasopism: INS 15/20

Druk: Magenta, Bydgoszcz, Konarskiego 2 **Nakład:** 40 egz.

Strona tytułowa- fragment piosenki „Młodym być i więcej nic” Mieczysława Fogga